Roger Dee

Obserwatorzy

(The Watchers)

`

Planet Stories, September 1951
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Zostawił swoje żyro na ciemnym trawniku i obszedł dookoła willę, uważnie unikając potoków światła płynących z otwartych okien. Pistolet energetyczny leżał mu w ręku, zimnym, wygodnym kształtem, a myśli krążyły ponuro wokół jednej kwestii: „I tak ja, Peter Manson, pacyfista, idealista, reformator, piewca tolerancji i przyjaźni – właśnie mam porwać człowieka, którego niemal na pewno będę musiał zabić jeszcze przed świtem”.

Jutro przekazy telewizyjne będą donosić o jego obłąkanym czynie pomiędzy innymi aktami szaleństwa: morderstwami na tle seksualnym, samobójstwami, politycznym podżeganiem do nadchodzącego holokaustu nieuniknionej Czwartej Wojny…

Wojna.

— Posuwają się za daleko — powiedział półgłosem. — Ich zwykłe manipulacje, stanowiły już wystarczające zło. Ale kolejna wojna, mogłaby oznaczać kres wszystkiego.

Obcy, który kazał się nazywać Leonard Havlik, znajdował się w jasnym, pełnym książek gabinecie, i pakował właśnie plik papierów do aktówki z wytłoczonym złotymi literami swoim nazwiskiem. Pomagała mu w tym sekretarka, szczupła dziewczyna o włosach w kolorze jasnej miedzi i zielonych oczach.

Manson czekał, czując ból mięśni, nieprzyzwyczajonych do takiego napięcia. Gdzieś w pobliżu, jakiś ptak wyśpiewywał senne trele, a wilgotną od potu twarz, chłodził mu nocny wietrzyk, niosący zapach zdeptanej koniczyny.

Obserwowana wewnątrz gabinetu scenka, ni z tego, ni z owego, przypomniała mu cichy okres jego własnych badań, w czasie których przez dziesięć lat pracował nad skąpymi wynikami swych poszukiwań. Efektem tych prac były cztery książki, w których z zapałem apostoła reformy, walczył próbując otworzyć oczy ludzkości na rozpościerające się przed nią możliwości. Niestety, poniósł porażkę.

Nie udało mu się obudzić swego gatunku, ale odkrył Obserwatorów. Porażka, jaką poniósł, nie była spowodowana jego błędami. Była to Ich…

Dziewczyna wyszła z pomieszczenia. Manson stanął w oknie, unosząc pistolet energetyczny.

— Wychodź, Havlik — rozkazał. — Szybko, albo rozwalę cię na kawałki tam gdzie stoisz – Obserwatorze!

Jego przeciwnik uniósł wzrok, zaskoczony. Był to niewielki, ciemnowłosy człowieczek, o szczupłej, zmęczonej twarzy i rzadkich siwych włosach. Doskonała replika milionów zwykłych biznesmenów – sztuczny kamuflaż człowieczeństwa.

Manson pstryknął bezpiecznikiem wycelowanej broni i Havlik szybko oraz bez słowa protestu, wyszedł przez okno. Manson szturchnięciem pistoletu pchnął go w stronę żyro i skuł mu kajdankami nadgarstki.

— My Ziemianie, mamy takie stare przysłowie — rzekł Manson, — które sprowadza się do tego, że nie można w nieskończoność oszukiwać wszystkich ludzi. Poświęciłem dziesięć lat żeby cię znaleźć, Havlik. I w końcu cię dopadłem.

Ustawił autopilota swego pojazdu na Green River, przez cały czas czujnie trzymając więźnia na celowniku pistoletu energetycznego. Żyro zaczęło stopniowo wznosić się w ciemną noc. Havlik lekko się uśmiechnął, jego ciemne oczy połyskiwały w świetle kontrolek panelu z przyrządami.

— Śmiej się, póki możesz — ponuro skomentował to Manson. — Dowiedziałem się już trochę o was, Obserwatorach. Do rana będę wiedział znacznie więcej.

— Użycie przemocy, było niepotrzebne — nieoczekiwanie oznajmił Havlik. — Udzieliłbym panu wszelkich informacji dobrowolnie, ponieważ nasza misja tutaj, została zakończona. Kha Niish, nasi panowie, polecili nam opuścić Ziemię. Dzisiaj w nocy.

Manson wpatrywał się w niego zaskoczony. Pewność siebie obcego, rozdmuchała jego gniew.

— Kłamiesz – wy, Obserwatorzy, mieszaliście się w nasze sprawy przez wieki, wykorzystując naszą ignorancję do nastawiania nas przeciwko sobie. Utrzymywaliście Ziemię w stanie nieustannego zamieszania, paraliżując nas, przy pomocy naszych własnych sporów, podczas gdy wy zacieśnialiście swój uchwyt na planecie. Teraz siejecie ferment aby wywołać Czwartą Wojnę, która mogłaby nas całkowicie unicestwić, oszczędzając wam kłopotu naszej bezpośredniej likwidacji. Nigdy byście nie odeszli, mając w rękach niemal pewny sukces.

— Być może myli się pan co do naszych intencji — wtrącił Havlik. — Skąd pan wie, że racja leży po pańskiej stronie?

— Ponieważ ludzie sami z siebie nie robili by takich brutalnych, idiotycznych rzeczy, jakie wypełniają codzienne przekazy telewizyjne — odparł Manson. — Jesteśmy stworzeniami towarzyskimi, pragnącymi uczuć – dlaczego mielibyśmy kłamać, kraść i mordować siebie nawzajem milionami? Człowiek jest zwierzęciem rozumnym, a jednak nie zachowuje się w rozumny sposób. Poprzez prostą indukcję, wywnioskować można, że podstawowa przyczyna jego ignorancji społecznej, wyrasta spoza niego. Ktoś, lub Coś, nastawia nas przeciwko sobie. Podejrzewałem to już dziesięć lat temu, a dzisiaj, to udowodniłem.

Havlik wzruszył ramionami.

— Zmarnował pan tylko czas. Dzisiaj opuszczamy Ziemię.

Manson krótko się roześmiał.

— Ty, nigdzie się nie wybierasz, mój drogi. Potrzebuję cię, aby uzyskać dalsze informacje.

— A co jeszcze chciałby pan wiedzieć? Powód, dla którego dajemy sobie spokój z Ziemią?

— Wcale nie macie zamiaru nas zostawić — stwierdził zirytowany Manson. — Może planowaliście rutynowy odskok do swojej bazy na Plutonie, ale nie zrezygnujecie z tak soczystego owocu, jak Ziemia. Nie po tych wszystkich latach!

Wyjrzał przez boczną szybę żyro, szukając wzrokiem białego szczytu Green Mountain, aby sprawdzić swoją pozycję. Na wschodnim niebie połyskiwała łuna Denver, ale interesująca go góra ginęła gdzieś w ciemnościach.

— Źle pan zrozumiał nasze motywy — powiedział obcy. — Ale ma pan całkowitą rację, co do bazy na Plutonie. Znowu indukcja?

— Na innym poziomie, tak — odparł Manson. — Pluton, to anomalia Układu Słonecznego – mała, ciężka planeta w miejscu, gdzie nie powinno być niczego, poza ewentualnie znacznie lżejszym ciałem. Pluton nie mógł zostać zrodzony przez Słońce – to musi być obcy glob, ściągnięty gdzieś z zewnętrznego kosmosu przez was, Obserwatorów.

Na panelu sterowniczym zamrugało czerwone światełko i żyro lekko zboczyło. Przed nimi rozbłysła, po chwili znikając, ognista smuga szkarłatnego odrzutu rakietowego, co wyjaśniało zmianę kursu.

— Ekspres Seattle-Miami — mruknął Manson. Po chwili jednak zaniepokoił go nienaturalny kąt zarejestrowanego śladu gazów wyrzutowych. — Ale on nie powinien przecinać mojego kursu – i powinien lecieć w górę, a nie w dół!

— Pańska krucjata opiera się na fałszywym założeniu — oznajmił Havlik. — Przybyliśmy na Ziemię niecałe pięćdziesiąt lat temu, i nie po to by zniszczyć ludzkość, ale by jej pomóc. Kha Niish wysłali nas jako misjonarzy, byśmy zasiali ziarno Ich łagodnej cywilizacji, tak jak to rozbiliśmy już wcześniej pośród tysięcy innych niemowlęcych ras, które narodziły się w Ich galaktyce.

Żyro zaczęło obniżać lot, schodząc po spirali do lądowania. Na spotkanie wyrósł mu wiejski dom, jego oświetlone okna radośnie jaśniały na tle ciemnych pól. Obok domu Manson zobaczył lśniący obiekt, stojący na wąskim końcu jak gigantyczny pocisk – statek.

Z niedowierzaniem uniósł wzrok, napotykając spojrzenie obcego. Zrozumienie niemal go oszołomiło.

— Ty diable — wydyszał. — Jakoś udało ci się mnie oszukać – od początku bawiłeś się ze mną w kotka i myszkę!

Przypomniał sobie o trzymanej w ręku broni i uniósł ją w górę.

— Proszę rzucić broń — powiedział Havlik. — Ustawił pan autopilota pod moją sugestią. To jest nasz punkt ewakuacyjny.

Broń wyślizgnęła się z palców Mansona. Próbował podnieść ją z podłogi i krzyknął zaskoczony, kiedy ciało odmówiło mu posłuszeństwa.

Obcy zdjął swoje kajdanki.

— Zostanie pan uwolniony, zaraz jak tylko wystartujemy.

— Kłamstwo — warknął Manson. Walczył, żeby wyrwać się ze stanu bezruchu, który go ogarnął. Żyły na czole aż nabrzmiały mu z wysiłku. — Powinienem się domyślić!

Żyro wylądowało łagodnie sto jardów od cylindra.

Wokół wielkiego statku roiło się mnóstwo ludzi, wlewając się do niego po szerokiej rampie w uporządkowanym załadunku. Dziewczyna, którą Manson widział w willi, podbiegła w stronę żyro, jej miedziane włosy powiewały na nocnym wietrze.

— Niemal się spóźniłeś — zawołała do Havlika. — Jesteśmy już gotowi do… — Spostrzegła Ziemina i urwała w pół słowa.

W głębokiej ciemności jej oczu Manson dostrzegł zrozumienie oraz ogromny żal, i po raz pierwszy dotarło do niego, że Havlik nie kłamał. Być może byli to kosmici, ale nie przybyli tu niszczyć – w tej dziewczynie płonęły te same ideały, ten sam transcendentny zapał, który i nim powodował. Zasadniczo, była ona w równym stopniu człowiekiem, co i on.

„To samo pragnienie wzbiera bezradnie w nas obojgu" — pomyślał. — „Wola niesienia w te ciemności zbawczej pochodni rozumu…"

— Zaczekajcie — wręcz błagał. — Wasi panowie nie odwołaliby was stąd, gdyby Ziemia was potrzebowała – a jeśli ludzie mogą sami wypracować swój własny sposób ratunku, to również i mnie nie potrzebują! Zabierzcie mnie ze sobą w kosmos – pozwólcie mi sobie pomóc, pozwólcie mi zobaczyć galaktykę Kha Niish!

Mówił do Havlika, ale jego wzrok podążał ciągle za dziewczyną, jak przyciągany magnesem. Odpowiedziała mu także spojrzeniem; współczucie w jej oczach było znacznie głębsze niż zwykły smutek.

Havlik pokręcił przecząco głową.

— Twoje zdrowie psychiczne ni zniosłoby obecności Kha Niish, ani żadnej z innych ras Kosmosu. Ciągnie cię do tej dziewczyny, jak do innej osoby z twojego gatunku – ale czy myślisz, że Kha Niish ukształtowali ją na Swój obraz? Ona, podobnie jak i reszta z nas, jest tylko androidem, przekształcanym przez Panów odpowiednio do środowiska każdej nowej planety, którą odwiedzamy.

Ostatni z mrowia ludzi zniknęli w wielkim cylindrze. Nocne powietrze przeciął stłumiony gong. Jakiś głos zawołał coś ponaglająco.

— Kha Niish nie polecili nam odlecieć stąd, ponieważ ludzie rozwiązują sami własne problemy — powiedział kosmita. — Zostawiamy was, byście się zniszczyli, tak jak tego pragniecie, ponieważ ludzkość jest jedną z rzadkich pomyłek Galaktycznej Potrzeby. Jesteście rasą niekorygowalną.

Potem, Manson siedział bezwładnie w swoim żyro, czekając aż wróci mu władza nad ciałem. Jego nozdrza wypełniał silny zapach spalonej ziemi, ozonu i zdeptanej koniczyny.

„My, Ziemianie mamy jeszcze inne stare powiedzenie" — pomyślał gorzko. — „Z próżnego to i Salomon nie naleje…".

Przez dłuższy czas siedział spokojnie, wytężając wzrok, by śledzić ostatnie słabiutkie ślady odrzutu rakietowego, który wznosił się łukiem na tle gwiazd. Potem niemoc, która go utrzymywała, opadła, i sięgnął po leżący pod nogami pistolet energetyczny.

KONIEC